

LIRA  
WYDAWNICTWO



# Śledztwo od kuchni

*czyli*

KLASYCZNA POWIEŚĆ  
KRYMINALNA

*o wdowie, zakonnicy  
i psie*

(z kulinarnym podtekstem)



KAROLINA  
MORAWIECKA





# Śledztwo od kuchni



KAROLINA  
MORAWIECKA



# Śledztwo od kuchni

*czyli*

KLASYCZNA POWIEŚĆ

KRYMINALNA

*o wdowie, zakonniczy*

*i psie*

**(z kulinarnym podtekstem)**

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2018

ISBN: 978-83-65838-87-2

*Pamięci  
mojego Taty, który w genach przekazał mi miłość  
do kryminalów,  
i siostry Ksawery, bez której siostra Tomaszka  
pewnie byłaby nieco inna*





## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W KTÓRYM CZYTELNIK ZNAJDZIE TRUPA,  
POZNA NAJWAŻNIEJSZĄ WDOWĘ WE  
WSI I JEJ PSA, A PODKOMISARZA CEGŁĘ  
BĘDZIE OGARNIAŁO ZDUMIENIE

Pomimo wrześniowego chłodu zamkowy ogród wciąż godnie się prezentował. Równiutko przystrzyżone bukszpany z perspektywy tarasu kawiarni Herbova tworzyły idealne geometryczne formy, wypełnione kolorami kwiatów. Perfekcja jednej z grządek, znajdującej się w centrum kompozycji, zaraz obok kuliście wyrzeźbionego krzewu, została jednak naruszona. Z morza szaławii, niszcząc owoc ciężkiej pracy miejscowego ogrodnika, wystawała bowiem ręka. I noga. Noga była zresztą zgrabna i młoda, a kilka godzin wcześniej — zapewne także jędrna.

Otoczone fioletowym morzem kończyny sterczały spokojnie i godnie, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania, aż do godziny dziesiątej pięć, kiedy to na zamkowy podworec wtoczyła się wycieczka integracyjna uczniów krakowskiego gimnazjum, którzy za nic mieli zakaz siadania na murku. Z murku zaś widać było to, co niewidoczne pozostawało z perspektywy brukowanego dziedzińca — zwłoki kelnerki z Herbovej, Anny Bednarz.

Tak mogłaby zaczynać się ta historia. Ale, jak to w życiu bywa, zaczęła się całkiem inaczej...

Karolina Morawiecka, wdowa po aptekarzu, od czasu do czasu kontrolnie spoglądając na drogę, mieszała w garnku aksamitny dyniowy krem, który kolorystycznie korespondował z jej stanem ducha — żółć zalewała ją raz po raz. Myślała o swoim mężu, którego piąta rocznica śmierci właśnie mijała, a z którym wciąż nie mogła się pogodzić. I szlag ją trafiał.

Kiedy w pewien majowy wieczór małżonek zniechęcony zaproponował, że zamknie dobrze prosperującą aptekę w podkrakowskiej Skale i przeniosą się do pobliskiej Wielmoży, zgodziła się po chwili wahania i wielkiej awanturze\*. W gruncie rzeczy kusila ją perspektywa spokojnego i sielskiego życia emerytów. No i większego ogródka, w którym będzie mogła wreszcie zaprezentować cały arsenał plastikowych krasnali i zwierząt naturalnej wielkości, dotąd niestety w części

---

\* Awantura ta, jak się zapewne domyślasz, droga Czytelniczko!, drogi Czytelniku!, miała charakter profilaktyczny, a jej celem było przypomnienie małżonkowi (tyłeż delikatnych, co istotnych) kwestii równości i partnerstwa w związku.

schowanych w garażu. Poza tym na wsi aptekarz, nawet na emeryturze, to nie byle kto. A już jego żona...! Tak, przeprowadzka na łono natury nie wydawała jej się taka zła. Tymczasem kilka miesięcy po zamieszkaniu w Wielmoży jej mąż, Stanisław, przeniósł się z łona natury na łono... Abrahama. I tego właśnie wybaczyć mu nie mogła. Zawsze bowiem wierzyła, że to ona umrze pierwsza. Oczami wyobraźni widziała swój nagrobek — jasny kamień (marmur lub piaskowiec), okazała figura smutnego anioła tulącego się do tablicy z dużym, wyraźnym nawet dla krótkowidzów napisem:

TU SPOCZYWA  
KAROLINA MORAWIECKA  
ŻONA APTEKARZA  
DUSZA CICHA I POKORNA

Można by jeszcze dodać coś o podporze społeczności w Skale... Ileż razy pieściła w myślach tę formułkę! Teraz jednak musiała o tym zapomnieć. (W trakcie budowania mężowskiego pomnika przez chwilę, za karę, chciała nawet zmniejszyć planowaną postać anioła, uświadomiła sobie jednak, że jego skrzydła i ją będą kiedyś obejmować, pozostała więc przy figurze godnych rozmiarów).

Teraz energicznie mieszała zupę, wyładowując swoją frustrację na idealnie gładkiej dyniowej powierzchni. Bo wdowa po aptekarzu — jak lubiła o sobie myśleć, wszak dobrze to brzmi — potrafiła gotować.

O, jakże trudne są arkana sztuki kulinarnej! Jakże trudno jest osiągnąć w nich mistrzostwo! Jak trudno

wyróżnić się wśród innych, dla których „kotlety genua” czy „dewolaje” są chlebem powszednim! Ale, dzięki Bogu!, i na to jest sposób. Ale, chwała Panu!, i na tej płaszczyźnie można być lepszym od innych. Karolina Morawiecka dawno zrozumiała, że tylko kuchnia wy-sublimowana a oryginalna, pachnąca dalekim światem i kusząca Orientem pomoże jej odnieść prawdziwy sukces. Wyróżnić się. Być lepszą. Gdy tylko mogła, oglądała więc kulinarne programy, w których mistrzowie patelni i mistrzyni rondli (miedzianych oczywiście) gotowali cuda. Żegnajcie kopytka! Żegnajcie schabowe! Kiedy jej rówieśnice, śladem swych matek i babek, ćwiczyły się w przygotowywaniu sałatki jarzynowej udekorowanej a to zabawną myszką z połówki jaja na twardo (oczy z ziarenek pieprzu, uszka z cieniuchno krojonych plasterczków rzodkiewki, wąsiki ze szczypiorku), a to finezyjnie wyciętą różyczką z ogórka — ona sięgała po nowe. I tak jak Wojski wrzucał do rosółu perły i monety, aby nadać mu wyjątkowej nuty, tak wdowa po aptekarzu hojną ręką stosowała kumin, kardamon i szafran dla osiągnięcia wyrazistego smaku. Świadoma swojej przewagi, z dumą recytowała przepisy na mniej lub bardziej oryginalne potrawy. Niby to mimochodem zdradzała sąsiadkom planowane menu (łosoś z kaparami, zielone curry z kafirem, falafel, lasagne i caponata), starając się jednocześnie ukryć wstydlivy fakt: nie umiała piec. O zgrozo! O ile jeszcze w Skale ta niedogodność mogła, jak ufała i co powierzała Panu w wieczornych modlitwach, pozostać niezauważona, o tyle na wsi rytuał pieczenia ciasta na niedzielę był obowiązkowo odprawiany we wszystkich domach. Prawdziwym fetyszem każdej

gospodyni jest bowiem zapach, jaki w sobotnie popołudnie unosi się wokół kuchennych okien... sąsiadki. Aromat ten wprawnym nozdrzom zdradza wszystkie sekrety — w jakim stanie emocjonalnym jest kucharka i kogo się spodziewa po niedzielnej sumie. Tak na przykład szarlotka oznacza, że mieszkańcy nie będą mieli gości, wymagający więcej zachodu sernik — na obiad wpadną dzieci, a ekstrakt malinowy i nuta żelatyny sygnalizują dawno niewidziane koleżanki lub nielubianą szwagierkę. Zapach czekolady z kolei zapowiada wizytę teściowej i cichą nadzieję, że orzechy znajdujące się na gorze wyrafinowanego brownie tym razem wywołają groźną w skutkach reakcję alergiczną...

Wdowa po aptekarzu starła jeszcze trochę gałki muszkatołowej i wyłączyła gaz pod garnkiem. Zupa była, jak zwykle, idealna. Mleko kokosowe dolane w ostatnim momencie podbiło smak dyni, a nutka chili dodała głębi. Zadowolona z siebie spojrzała przez okno i wreszcie zobaczyła coś, co zapewniło jej zastrzyk adrenaliny i wywołało radosne drżenie palców: Podzamczem, od Herianówki w stronę zamku w Pieskowej Skale, biegł spocony i czerwony na twarzy Edward Stachlak. Sąsiad musiał wzbudzić ogólne zainteresowanie, bo ani nie miał figury maratończyka (wręcz przeciwnie, zbliżał się do kształtu kuli lub raczej czterech kul osadzonych jedna na drugiej, z których najmniejszą była szyja ukryta pod kilkoma warstwami podbródka, największą zaś środkowa połącz ciała), ani jego kondycji. Nie miał też tradycyjnego dla tej dyscypliny sportu obuwia — jego stopy ginęły w wysokich gumiakach. Choć ten akurat fakt nikogo z mieszkańców Wielmoży nie dziwił. Stachlak nosił je

od lat. Zniszczoną parę wymieniał na nową, najczęściej identyczną: zielone kalosze na grubych podeszwach z filcowym otokiem na górze. Kilka razy zdarzyło mu się nawet pojawić w nich w kościele, co nie uszło niczyjej uwagi, ale i nie wywołało lawiny nieprzychylnych (ponad miarę) komentarzy — wiadomo, wdowiec, to i nie ma mu kto butów na święto wyszykować.

Czerwony na twarzy emeryt wykrzykiwał coś niewyraźnie, zmuszając panią Karolinę do otwarcia kuchennego okna.

— Co się tam dzieje, panie Edwardzie? Gdzie pan tak biegniesz? Pożar jakiś?

— Trup! Trup na zamku!

Na te słowa wdowa po aptekarzu, tak jak stała, ruszyła do furtki. Niestety nie była pierwsza. Obok Stachlaka zmaterializowała się sąsiadka. Ta nowa. Też Karolina. Z Krakowa. Pani Karolina wciąż nie mogła się zdecydować, czy ją polubić, czy też nie. Z jednej strony — miały to samo imię, co mogłoby być i plusem (solidarność), i minusem (brak oryginalności). Była też sporo młodszą, choć wdowiec po aptekarzu nie udało się rozszyfrować, ile miała lat (trzydzieści?, czterdzieści?), co znowu miało swoje zalety (niepodważalny autorytet wyraźnie widocznych sześćdziesięciu pięciu lat wdowy) i wady (wiadomo). Największy problem Morawieckiej stanowiły jednak psy. Nowa miała dwa malutkie, zgrabniutkie kundelki, które co prawda dosyć często ujadają, ale ich uroda podbijała serce przechodniów i sąsiadów, w tym jej własne. Tymczasem ona... Na samo wspomnienie znów szlag ją trafił i pan Edward ze swoim trupem przestali na chwilę się liczyć.

Stanisław Morawiecki, oprócz pracy w aptece, miał jedną pasję — psy. Jednak w Skale pasja ta nie mogła stać się ciałem (a Wallenrod Belwederem), gdyż, jak wytłumaczyła mu udręczonym tonem żona z miną chrześcijańskiej świętej katowanej przez bezbożników, w małym domku bez ogrodu, a jedynie z niewielkim, acz starannie przystrzyżonym trawnikiem na podjeździe (zajętym w całości przez krasnale i zwierzęta *made in China*), nie ma miejsca na psy. Pies nie może także chodzić ze swym panem do apteki, a wiadomo, że w saloniku z meblóścianką na wysoki połysk i kanapą *à la* kolejny Ludwik żadna usierściona łapa postać nie może.

Po przeprowadzce do Wielmoży sytuacja zmieniła się i oto pewnego dnia, bez żadnych konsultacji z poślubioną przed obliczem Boga małżonką, były już aptekarz zjawił się z niespodzianką:

— Karolino — rzekł oficjalnym tonem. — Mam dla ciebie Trufkę.

— Trufle? Ależ nie trzeba było! Wiecznie na coś wydajesz pieniądze! — zagderała, żeby przypadkiem nie rozpuścić Stanisława. Zresztą, choć sumka ze sprzedaży apteki była co najmniej... interesująca, wzorem swych przodków cnotę oszczędności ceniła sobie wysoko. — Przecież wiesz, że nie mogę jeść za dużo czekolady, bo jeszcze utyję. — Mówiąc te słowa pani Karolina figlarne uderzyła się w nader obfity biust, spoczywający bezpiecznie na stabilnej podporze brzucha, i zaróżowiła ze szczęścia. Nie podejrzewała małżonka o kupno prawdziwych trufli, zbyt przecież drogich dla zwykłych emerytów (o rencistach nie wspominając), musiały to być więc trufle czekoladowe. Też dobre.

Po chwili była już wyraźnie czerwona na twarzy, a szyję zalały jej szkarłatne plamy. Trufla okazała się bowiem psem. I to jakim! Nie, nie był to słodki pudelek miniaturka. Ani jamniczek z merdającym ogonkiem. Ani shitzu z czy york, któremu można wiązać malutkie kokardki nad oczami. Ani nawet ratlerek o wyłupiastych oczkach i mordce żabusi. Nie! Trufla okazała się wielką, ponad pięćdziesięciokilogramową suką doga de Bordeaux, którą poprzedni właściciele oddali — jak mówili — z powodu galopującej alergii na sierść psa. Wkrótce jednak wyszło na jaw, że powody mogły być inne... Zapach, jaki wydobywał się z jej pyska, robił wrażenie nawet na tych, którzy pracowali w rzeźni i do niejednego przywykli. Ślina skapująca z wiecznie rozdziawionej mordy (kłopoty z oddychaniem) była dosłownie wszędzie, od sufitu po krzesła, zastygając w prawdziwe stalaktyty. Chrapała jak trzech panów (w łódce, nie licząc psa). Ale i tak najgorszy był jej charakter. Obrażała się o byle co, patrzyła spod byka i nie reagowała na komendy. Nawet smakołykiem nie udało się jej przekupić czy udobruchać. Po dwóch dniach męczarni pani Karolina postanowiła przeprowadzić śmiertelnie poważną rozmowę z małżonkiem, w której koronny argument brzmiał: „Wybieraj! Albo ty, albo ona\*! Z waszą dwójką mieszkać nie będę!”

---

\* Drogi Czytelniku! Droga Czytelniczko! W tym miejscu warto docenić mądrość i życiowe doświadczenie naszej bohaterki. Pani Karolina była kobietą rozsądną i doskonale wiedziała, że przed mężczyzną (zwłaszcza wzburzonym) nie należy stawiać zbyt trudnych wyborów. Ani, tym bardziej, stawiać sprawy na ostrzu noża. Gdyby bowiem małżonek miał zdecydować, czy wybrać psa, czy żonę, w przypiętych emocjach mógłby opowiedzieć się za Truflą. A wtedy ta historia nigdy by się nie wydarzyła. Albo potoczyłaby się całkiem inaczej...



Stanisław podniósł spuszczoną zazwyczaj głowę (choć, o ile jej pamięć nie myliła, nie patrzył jej wtedy prosto w oczy) i rzekł:

— Oczywiście, moja droga, w każdej chwili możemy ją oddać. Prawdę mówiąc, twoja przyjaciółka, pani Ada Rażny, bardzo chciała wziąć Trufelkę. Zachwycała się jej wyjątkową urodą i gdybym jej nie ubiegł, na pewno pierwsza by ją przygarnęła. Toż to rasowa dożyca de Bordeaux! Więc jeśli tylko chcesz, zaraz do niej zadzwonię. Zresztą mówiła, że jeśli się rozmyślisz...

Kiedy małżonek przywołał nazwisko największej rywalki, z którą od niepamiętnych lat toczyła zacieklą walkę o palmę pierwszeństwa we wszystkich możliwych dziedzinach, nie pozostawało jej nic innego, jak tylko zmienić taktykę. Od ataku przeszła więc do natchmiastowej defensywy.

— Kto mówi, że się rozmyśliłam? Stanisławie, czy ty mnie w ogóle słuchasz? Ada Rażny może sobie pomarzyć o takim psie! Oczywiście, że nikomu jej nie oddamy. Ale żeby było jasne: ja po niej sprzątać nie będę!

No i Trufla została. Wkrótce potem Stanisław zmarł. Przez chwilę nawet świeżo upieczona wdowa chciała pozbyć się suki (z powodu alergii oczywiście), ale na szczęście coś ją tknęło. Nie mogła tego zrobić, bo przecież — co ludzie powiedzą?! A wiadomo, co powiedzą: ledwie zmarł, a już nawet jego psa z domu wyrzuca. Po śmierci pana Trufla została więc przy pani Karolinie jako żywy dowód, że świętej pamięci małżonek nie zasłużył ani na marmurowy nagrobek, ani na figurę anioła liczącą metr sześćdziesiąt. Znosiły się z trudem, ale za to godnie reprezentowały pamięć o zmarłym.

*Każdy musi dźwigać swój krzyż* — powtarzała w myślach pani Karolina.

Teraz Trufla leżała pod furtką i tarasowała dojsście do ledwie już dyszącego sąsiada.

— Jak to: trup? — spytała nowa.

— Jak to: trup? — spytała równocześnie wdowa po aptekarzu.

— Wycieczka go znalazła. W ogrodzie leży. W szalwii. Policja już jedzie. — Pan Edward wykrztuszał z siebie płuca i kolejne zdania. — Kolega zadzwonił po pomoc, Marian znaczy się. Furgalski. To biegnę na zamek i chciałem ludziom powiedzieć, a tu nikogo w chałupach ni ma. Panie pierwsze som.

— Pan poczeka, podskoczmy razem. — Wdowa po aptekarzu już ściągała fartuch, chroniący jej godne rozmiary przed kroplami dyniowego kremu, i mocowała się z zaślinioną Truflą, która próbowała zlizać z niego niewidoczne gołym okiem aromaty.

— Pani! Dziękuję... Ja już biec ni mom sił. Może zdążymy, zanim ją policja wyciągnie?

— Jaką ją?

— Marian powiedział, że to jakasi kelnerka.

Kilka minut później mknęli białym tico pani Karoliny. We dwójkę, bo nowa stwierdziła, że jej to nie interesuje.

*Też mi coś, nie interesuje jej!* — prychnęła w duszy wdowa po aptekarzu, uznając, że jednak nie polubi krakuski. *Wychodzę przy niej na wścibską wiejską babę, a przecież jestem ze Skaty! Jak jej nie interesuje, to jej nic nie powiem! Ciekawe, jak długo wytrzyma* — zaśmiała się w duszy i z piskiem opon wyhamowała na parkingu dla pracowników zamku.

Tu zaś działały się sceny iście dantejskie. W bramie prowadzącej na zamek stał Bartosz Skalski, jeden ze strażników, blady i roztrzęsiony, pałący kolejnego papierosa. Na oko, sądząc po stosie niedopałków wokół jego wypastowanych służbowych butów, kończył paczkę. Na widok nowych gości nie odezwał się ani słowem, tylko trzęsącą się ręką odpalił kolejnego.

Za jego plecami na dziedzińcu miotali się blada nauczycielka z burzą rudych włosów i tęgi brunet z wąsikami, próbując zapanować nad rozwrzeszczaną grupą gimnazjalistów i utrzymać ich w bezpiecznej odległości od nieszczęsnego murku. Kilka dziewczynek zawodziło, trzymając się wzajemnie za dresowe bluzy, cichy grubasek w okularkach dyskretnie puszczał pawia na polerowany kamień, blisko okazałych rabat na prawo od bramy. Chłopcy krzyczeli, dziewczynki piszczały i wzdychały. Wszyscy, oprócz grubaska naturalnie, mieli w rękach telefony. Tylko dwie dziewczynki starały się dodzwonić do rodziców (którzy oczywiście nie odbierali, bo siedzieli w pracy). Pozostali uczniowie próbowali kręcić filmiki lub choćby zrobić zdjęcia ciała, co było o tyle trudne, że szeroki murek całkowicie zasłaniał makabryczne widowisko. W kadrze pojawiali się więc tylko rozdygotana rudowłosa i spocony brunet, oboje z rozczapierzonymi rękami.

— C.S.I. Kryminalne zagadki Wielmoża — ekscytował się pryszczaty.

— Głupi jesteś! C.S.I. Pieskowa Skała.

— Może lepiej: śmierć na zamku? — Dziewczynki co prawda zawodziły, ale to nie przeszkadzało im brać udziału w dyskusji. — Albo: tajemniczy zgon?

— Dzieci, tak nie można! Proszę natychmiast odłożyć te telefony! — bezskutecznie apelowała nauczycielka.

— Ale my tylko zdjęcie zrobić chcemy... Tylko jedno!

— Czy wy serca nie macie? Ostatni raz wam zwracam uwagę, potem dzwonię do rodziców. — Brunet odwołał się do ostatecznego argumentu. Poskutkowało.

— No dobra — skapitulowali i natychmiast przenieśli swoje zainteresowania na bardziej ożywiony obiekt. — O, Adaś rzyga! Chłopaki, kręcimy!

Trzy młode dziewczyny w króciutkich spódnicach i fartuszkach z logo Herbovej, opuchnięte od płaczu, tarasowały wejście do restauracji znajdującej się po lewej stronie od bramy.

— Wejścia nie ma. Wypadek był — powiedziała jedna z nich, ta najzgrabniejsza i widać najbardziej przytomna, bo świadoma sytuacji starała się zapanować nad rozmazującym się tuszem do rzęs. Wiadomo, policja będzie, może i dziennikarze — manewrowała więc chusteczką, bo jakoś nie wypadało w obliczu tragedii wyciągać lusterka z kieszeni służbowego fartuszka.

— Czekamy na policję. Już jadą. I to ze samej Skały!  
— Dodała całkiem normalnym głosem druga.

— Dziewczyny, to swoi. — Niespodziewanie dołączył do nich Marian Furgalski, drugi strażnik. — Dzięki, Edek, że przyjechałeś, bo jakoś tak głupio mi było. Bartosz się całkiem rozkleił, to on przybiegł i ją zobaczył, jak tylko dzieciaki zaczęły piszczeć. Najpierw nie wiedział, na co patrzy, ale zeszedł na dół, bo ogród przecie zamknięty dla zwiedzających, i rozpoznał, że to Ania Bednarz, jedna z kelnerek. Nawet puls jej pomacał i reanimować próbował... Ale nie

żyła. To spytaliśmy się dla pewności dziewczyn z Herbovej, czy Bednarzówna jest w pracy, i nawet złe na nią były, że się dzisiaj nie zjawiała, a wiadomo było od tygodnia, że dzisiaj wycieczka szkolna z Krakowa ma być... Zadzwoniliśmy na policję i czekamy. No i tak jakoś pomyślałem, że mi porządek utrzymać pomożesz, pracowałeś tu przecież kiedyś... Dzień dobry, pani Karolino — dodał po chwili z galanterią, pierwszy wyciągając rękę. Wiadomo, wdowa po aptekarzu, i to ze Skały, trza się godnie powitać.

— Dzień dobry — przywitała się, a kiedy pan Marian cmokał w końce jej palców, obdarzyła go istic królewskim skinieniem głowy. — Choć w tych okolicznościach... — westchnęła ciężko.

A kiedy już dała wyraz tym jakże trudnym emocjom, postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce. Morawiecka bowiem spośród wielu cech, które wprawiały ją w zadowolenie bądź dumę (nie pozbawiając jej przy tym, oczywiście, wrodzonej skromności i pokory), niezwykle sobie ceniła umiejętność zachowania zimnej krwi. Oraz dar dobrej rady, którą dzieliła się z bliźnimi, czy tego chcieli, czy nie. Teraz miała wreszcie okazję zademostrowania swoich nieograniczonych możliwości.

— Panie Edku. — Niespodziewanie dla wszystkich Karolina Morawiecka zaczęła dyrygować zebranymi. — Pan stanie w bramie, a najlepiej będzie ją zamknąć, dopóki policja nie przyjedzie. Ten pan Bartosz to za chwilę zemdleje od papierosów, trzeba go gdzieś posadzić. Grupę koniecznie trzeba uciszyć — to mówiąc, posłała miotającym się wciąż nauczycielom karzące spojrzenie, przed którym nawet Trufla poczułaby

respekt — i usadzić w jednym miejscu. Moje drogie — zwróciła się teraz do całkiem już przytomnych kelnerek. — Dzieciom na pewno przydałaby się herbata, choć pewnie najlepsza byłaby gorąca czekolada (ach, na skalskiej śmietance trzydziestoprocentowej, kilka kostek gorzkiej i mlecznej czekolady, wzbogacone nutkami kardamonu i cynamonu, gotowane do pełnej gęstości około trzech minut). Trzeba się brać do roboty!

— Proszę państwa. — Wdowa dwa razy klasnęła w ręce. — Wchodzimy do Herbovej, gdzie poczekamy na przyjazd policji. Dzieci, ma być spokój! Najlepiej po cichutku pomódlcie się — tu zrobiła krótką pauzę, przez chwilę bowiem poczuła się jak święta męczennica na arenie z mającymi ją pożreć dzikimi zwierzętami — za zmarłą...

— No, no. — Stachlak spojrział z dumą na sąsiadkę. — Pani to wie, jak postępować z ludźmi. Klasa kobitka! — Zerknął raz jeszcze ukradkiem na posągową wdowę. — A biuścik... epicki — rozmarzony obfitością kształtów mruknął do kolegi Mariana i zaraz potulnie powędrował w stronę zamkniętej już bramy wjazdowej i roztrzęsionego Bartosza Skalskiego, mijając kolumnę ucichłej nagle młodzieży grzecznie udającej się na taras widokowy Herbovej.

Po wydaniu komend i skoszarowaniu tłumów, czując się co najmniej niczym Napoleon albo i sam Piłsudski na Kasztance, pani Morawiecka rozejrzała się badawczo po pustym już dziedzińcu i żwawo potruchtala w stronę murku. Był stosunkowo niski, sięgał jej nieco powyżej pasa, przede wszystkim zaś — był szeroki.

Na tyle, że siedzenie na nim wydawało się bezpieczne... Na tyle, żeby częściowo zakrywać makabryczne znalezisko... Wdowa wychyliła się nieco i spojrzała w dół. Nie było bardzo wysoko, może z pięć metrów. Może sześć.

— Biedactwo leży na wznak, więc na pewno nie skoczyła. Nieszczęśliwy wypadek albo... — Zamyśliła się na moment, raz jeszcze szacując szerokość murku. — ...albo ktoś jej pomógł. Tylko dlaczego? O której zginęła? No i najważniejsze: czemu tutaj?

W zamyśleniu wyprostowała się, wypięła pierś do przodu i poprawiła pasek lekko wrzynającej się w ramię lakierowanej czarnej torebki. Już miała wrócić do gromadzącej się na tarasie widokowym grupy, kiedy dotarło do niej, że brakuje bardzo, ale to bardzo istotnego elementu. Nigdzie nie widać torebki zmarłej!\* Może jest mała i przykrywa ją szalwia, bo rzeczywiście jakaś taka gęsta w tym miejscu, dorodna. Trzeba by spytać ogrodnika, jaki nawóz stosuje... Ale — wdowa po aptekarzu wychyliła się jeszcze bardziej, na ile tylko pozwolił jej biust (i brzuch) — nie, po torebce nie ma ani śladu...

*Podejrzane. W najwyższym stopniu podejrzane* — wyszeptała sama do siebie Morawiecka i ruszyła w stronę restauracji. Już ona nie miała złudzeń, czy ta nauczycielka potrafi sama zaprowadzić porządek. Pewnie za chwilę trzeba będzie ją cucić.

---

\* Drogi Czytelniku! Droga Czytelniczko! Może zadziwił Cię kierunek dedukcji Karoliny Morawieckiej, ale jego wyjaśnienie jest bardzo proste: nasza bohaterka nie wyobrażała sobie, żeby prawdziwa kobieta mogła obyć się bez torebki w jakichkolwiek, nawet ostatecznych, okolicznościach.

Kwadrans później na zamku zjawiała się policja. Podkomisarz Adam Cegła spodziewał się totalnego chaosu. Ludzi wyprowadzonych z równowagi. Histeryzujących kobiet i dzieci — już przy zgłoszeniu przekazano informację, że ciało spostrzegła grupa uczniów z krakowskiego gimnazjum, przebywająca na wycieczce integracyjnej w Pieskowej Skale. Wyobrażał sobie totalnie zdeptane miejsce zbrodni, płacz i lamenty. I sporadyczne wymioty, niweczące wszelkie ślady DNA ewentualnego sprawcy. Tymczasem, ku jego najwyższemu zdumieniu, scenariusz zdarzeń rozgrywał się całkiem inaczej.

Owszem, cuchnący papierosami strażnik znajdujący się przy wejściu, po wylegitymowaniu zidentyfikowany jako Bartosz Skalski, lat 26, mieszkaniec Wielmoży, zameldowany przy ulicy Herianówka 108, był błądy i roztrzęsiony. Wyraźnie w szoku, który ograniczał jakikolwiek z nim kontakt. Obok jednak na rozkładanym krzeselku siedział zażywny starszy pan w gumniakach. Ewidentnie podekscytowany zachowywał jasność umysłu.

— Dzień dobry — przywitał się z entuzjazmem. — Wszyscy są na górze, na tarasie Herbovej. Żeby śladów nie zdeptać. Dziewczyna, to jest Anna Bednarz, to jest ta, denatka — tu dumnie wypiął pierś, bo wszak nie każdy zna i używa takiego specjalistycznego słownictwa — w ogródku leży, o tam, za ten murek trzeba się wychylić i wszystko widać.

— Kim pan jest? — zdumiał się podkomisarz. Nie pierwszy i nie ostatni raz tego dnia.



— Emerytowany strażnik, Edward Stachlak. — Niemal zasalutował, zrywając się z krzeselka. — Mnie tu wezwał do pomocy Marian Furgalski, drugi ze strażników obok tego tu. — Wskazał na rozdygotanego młodzieńca na skraju katatonii. — Co to teraz ze wszystkimi na górze siedzi. Jakieś czterdzieści minut temu to było. No tom przyjechał z sąsiadką, tą wdową po aptekarzu, i teraz wejścia i w ogóle wszystkiego pilnuję. — Ponowie dumnie wypiął piers.

— Jędrak, ty tu zostajesz i spiszesz zeznania — rzucił Cegła do jednego z towarzyszących mu dwóch młodych aspirantów. — Ja idę zobaczyć ciało. Technicy już są?

— Właśnie dojeżdżają, panie podkomisarzu. — Chudy brunet zakończył rozmowę przez komórkę.

— Batory, idziesz za mną na dół. Tylko ostrożnie, ochraniacze załóż, żeby niczego nie zdeptać — puczył na koniec. — A ty, Jędrak, koc jakiś znajdź dla tego tutaj. Cały się trzęsie, widać w szoku jest.

Leżąca na plecach pośrodku grządki z ogrodową szalwią dziewczyna była młoda i ładna. Otwarte oczy wpatrywały się w górę, w piękne wrześnie niebo. Ubrana w kusą spódniczkę oraz obcisły podkoszulek nie miała makijażu. Obok ciała, co podkomisarz Cegła skrzętnie odnotował w myślach, nie było śladu po torebce.

— Dziwne — mruknął pod nosem. — Bardzo dziwne. Ale może torebka została na górze i ktoś ją gdzieś odłożył. Jakiś kretyn... Albo, czego przecież nie można wykluczyć, denatka w ogóle nie miała jej przy sobie. Dobra, Batory — zwrócił się do pobladłego policjanta,

na którego twarzy wyraźnie widoczne były i strach, i ekscytacja. — Nic tu po nas. Trzeba czekać na techników. To twój pierwszy raz, tak?

— Tak, panie podkomisarzu — przytaknęła wyraźnie poblądły Batory. — Dotąd jakoś się nie składało. Sam pan wie, że w prewencji robiłem.

— I dobrze. — Cegła poklepał go po ramieniu. — Im mniej trupów, tym lepiej. Sen będziesz miał spokojniejszy. No dobra, wracamy na górę. Chodźmy teraz do tych tam. — Wskazał ręką na grupę ludzi znajdujących się na tarasie widokowym Herbovej i bezwstydnie wpatrujących się w stróżów prawa przy pracy. — Przy odrobinie szczęścia za parę godzin będziemy wiedzieli, co tu się stało.

Zdumienie podkomisarza byłoby zapewne niepomierne, gdyby wiedział, jak potoczą się losy śledztwa. Jednak w najbliższym czasie coś innego miało go zdziwić. Po raz kolejny tego dnia zresztą.

Kiedy wreszcie podkomisarz Adam Cegła w towarzystwie młodszego aspiranta Rafała Batorego udał się na taras kawiarni, niemal wszyscy zgromadzeni czekali karnie przy stolikach, pijąc herbatę (dzieci) lub kawę (dorośli) i patrząc na — z tej perspektywy widoczne jak na dłoni — zwłoki młodej kobiety burzące perfekcyjny dotąd kształt grządek. Niemal wszyscy, gdyż wdowa po aptekarzu wraz z brunecikiem z wąsem cucili rudą nauczycielkę, która na widok nogi i ręki wystających z szalwii ogrodowej dostała najpierw ataku histerycznego śmiechu, a następnie — zemdląła.

Po raz kolejny tego dnia zdumienie ogarnęło podkomisarza Cegłę, kiedy na jego widok starsza kobieta

pochylona nad rudowłosą gwałtownie poderwała się z klęczek i wyprężyła jak struna. Był to widok niezwykły i absolutnie zaskakujący nie tyle ze względu na wiek (*Jakoś tak blisko siedemdziesiątki* — zawyrokował bezdusznie Cegła), co na jej rozmiary. Kobieta była potężna. Mając niecałe sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, musiała ważyć niewiele mniej kilogramów (och, co za okrutna nieściskość! Wdowa miała raptem kilkanaście, no, może kilkadziesiąt kilo nadwagi). Krótkie włosy w kolorze buraczanej czerwieni ułożone miała w loki, ale i tak przywodziły na myśl kask. Lub hełm. Spod fałd drugiego czy trzeciego podbródka (nie bądźmy drobiazgowi) wyłaniała się sporych rozmiarów narośl. Z niej zaś — niczym trzej sławni muszkietierowie, ochoczo broniący króla i cześć kobiecą; niczym biblijni trzej mędrcy ze Wschodu składający pokłon Dzieciątku; niczym mityczne trzy siostry: Aglaja, Eufrozyna i Telaja — sterczały trzy cienkie włoski. Kobieta była skromnie ubrana w czarną spódnicę i różowy golfik z anilany, lekko opięty na brzuchu. Ani jednak pies na widok kota, ani nawet stosunki między kibicami Wisły i Cracovii nie bywają tak napięte, jak napięta była tkanina na jej biuście.

Podkomisarza ogarnęło dziwne uczucie, że gdzieś już ją widział. Że skądś ją znał.

— Ja pana znam z widzenia — oznajmiła mu z godnością daleka kuzynka mitycznej Gracji. — Karolina Morawiecka jestem. Wdowa po aptekarzu. Ze Skały — dodała z naciskiem. — Przyszłam tu razem z panem Edziem Stachlakiem już po odkryciu ciała biednej Ani Bednarz (niech spoczywa w pokoju), do pomocy,

ale to już pan na pewno wie, bo pan musiał z nim rozmawiać na samym początku, jeszcze przy bramie. Tu ma pan listę z danymi wszystkich uczniów oraz imiona i numery telefonów ich rodziców. Bo przecież bez ich zgody nie będzie pan przesłuchiwał dzieci, prawda? — Posłała mu uważne spojrzenie i z radością dostrzegła, że policjant osłupiał. Podobnie zresztą, jak i ten młodszy, chudy, stojący kilka kroków za nim. — Nauczyciele niewiele pewnie panu powiedzą, bo zajęci byli odciąganiem uczniów od murku. A ta — wskazała ręką na siedzącą wciąż na podłodze rudowłosą, która najwidoczniej odzyskała już przytomność ciała, choć wciąż daleko jej było do przytomności umysłu — to w ogóle nic panu nie powie. Polonistka — powiedziała, jakby to tłumaczyło wszystko.

Cegła zebrał się wreszcie w sobie. Wciąż nie mógł otrząsnąć się ze zdumienia. Co to za jedna? Co to za jakiś koszmarny żart?

— Panie Batory, proszę wstępnie spisać i przesłuchać świadków — rzucił i odwrócił się na pięcie, zostawiając młodszego aspiranta Rafała Batorego na pożarcie lwu. Niech się chłopak uczy.

\*\*\*

Niespełna dwie godziny później, jeszcze kościelny zegar w Sułoszowej nie wybił trzynastej, rozpędzone białe tico jechało Zamkową w stronę Skały. Wdowa po aptekarzu, spisana przez funkcjonariuszy pierwszy raz w życiu, odreagowywała na skrzyni biegów składanie zeznań. Już ona dobrze wiedziała, że śmierć Ani Bednarz nie była wypadkiem. Starszy policjant za

nerwowo gdzieś dzwonił, pokrzykiwał nieustannie i kazał swoim ludziom czekać na prokuratora z Krakowa. Pytał wystraszone kelnerki o torebkę zmarłej, pytał strażników i grupę uczniów, sam obszedł wszystkie rabaty. I nic. Jak kamień w wodę. Zbyt to wszystko było chaotyczne jak na niezawinioną śmierć, a przecież nie był młodziakiem. No i ten błysk w oczach... Tak, pani Karolina za dobrze знаła to uczucie, kiedy ktoś miał jakiś sekret i chciał zatrzymać go dla siebie. I wiedziała, że jeszcze się taki nie narodził, który zdołałby coś przed nią ukryć.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie Stanisława, który tak żarliwie zapewniał ją o rzuceniu palenia. Zbyt żarliwie. Oczywiście, zaufanie w małżeństwie to ważna rzecz. Bez dwóch zdań. No ale trzeba też pamiętać, że wszystko ma swoje granice, a strzeżonego Pan Bóg strzeże. Tak więc pani Karolina postanowiła przeprowadzić małe śledztwo. Zupełnie niezobowiązujące. Stanisławowi wydawać się musiało, że wielki z niego spryciarz... Na wszelki wypadek przestał kupować papierosy w Skale i jeździł po nie do Sułoszowej lub do Ojcowca. Nawet, mądrała, palił papierosy w szklanej fifce, bo przeczuł, że żona mogłaby mu kontrolnie powąchać palce... I owszem, powąchała. Ale nie docenił sprytu i inteligencji własnej małżonki, o nie! Tamtego dnia, wiedzioną instynktem i potrzebą konkretnych, twardych dowodów, wyszła z domu wcześniej, pod pretekstem wyprawy na targ, kiedy niczego nieświadomy Stanisław jeszcze w piżamie przeglądał dziennik i jadł jajeczniczkę z trzech jajek (zeszklona na maśle cebulka, jajka roztrzepane

dopiero na patelni, sól i pieprz obowiązkowo użyte pod sam koniec smażenia, całość posypana drobno posiekany m szczypiorkiem). Klucze do apteki dorobiła już kilka lat wcześniej, na wypadek gdyby kiedyś przyszło mu do głowy zatrudnić jakieś młode praktykantki. Choć była wtedy nieco większa niż teraz (po śmierci aptekarza straciła wszak kilkanaście kilo, zamartwiając się figurą anioła, nieszczęsną Truflą i — oczywiście — cierpiąc z powodu niepowetowanej straty), udało jej się z ułożonych w piramidę pustych opakowań po lekach wybudować prowizoryczną kryjówkę. Musiała co prawda przecierpieć kilka godzin w niewygodnej pozycji, ale czego się nie robi dla dobra śledztwa! Ukrytej na zapleczu apteki za stertą pudeł małżonce wystarczyły raptem trzy godziny, by przyłapać kłamcę na zachłannym wydmuchiwaniu dymu w tylnych drzwiach prowadzących na podwórko. Jakąż miał minę, kiedy na czworakach, masując obolały krzyż, pani Karolina wyłoniła się zza stosu opakowań po lekach na zgagę i przeziębienie! Nawet się zakrzuszył! Swoją drogą od tamtego momentu stał się niemal fanatycznym wyznawcą recydingu i najmniejszą nawet tekturkę, karteluszek czy kartonik natychmiast nerwowo wyrzucał do odpowiedniego kontenera. I, oczywiście, naprawdę rzucił palenie. Tak, przed Karoliną Morawiecką nikt i nic się nie ukryje...

Zadowolona z siebie wdowa z piskiem opon wyhamowała przed Żabką. Skoro Ania Bednarz została zamordowana, policja zacznie szukać zabójcy. Na pewno będzie chodzić po wsi i rozpytywać o denatkę. I pewnie zahaczą o dom wdowy po aptekarzu, która tak

wspaniale poradziła sobie na miejscu zbrodni. Trzeba się więc odpowiednio przygotować, umyć okna, przetrzeć porcelanowe figurki, nabłyszczyc bluszcz. I najważniejsze — kupić ciasto.